

dą różową w jasnych, trochę ufryzowanych włosach. I taki tryumf młodej radości mają oczy tej dziewczyny, jakby ktoś w niej zapalił lampę podsyconą zdwojoną siłą życia. I tak się spieszy ta dziewczyna, tak bardzo spieszy do swoich, tylko do swoich.

Już Ola ubrana elegancko, mile — jednobarwnie.

Szara fałdzista suknia. Srebro dyskretne przy staniku. Pokojówka podaje Oli ładną, świeżą żółtą różę.

— Wielmożna pani przypnie...

Ola bierze machinalnie kwiat.

— Tak...

Włożyła płaszcz. Kucharka za drzwiami sympialni szpieguje, kiedy pani wreszcie z domu wyjdzie.

— Pójdę piechotą. Nie zamówiłam dorożki. Teraz będzie trudno.

— Śnieg sypie. Ja wielmożną panią odprowadzę... — proponuje miękko pokojowa.

— Nie! nie!... a wróćcie kiedy chcecie. Macie klucz. Ja mam swój. Pewnie późno wrócę...

Ola to mówi białym, dziwnym głosem. Jakby nie swoim. Wychodzi wreszcie z mieszkania. Już jest na ulicy. Skręca zaraz na rogu i iść zaczyna przed siebie. Sama nie wie, gdzie i dokąd. Ale iść musi. Śnieg rzeczywiście sypie wielkimi płatami. Ola nie wzięła parasola. Zresztą jej wszystko jedno. Idzie w biel i ciszę.

* * *

Bo dziwna jest biel. I dziwna jest cisza. Jakby zadzwonił ktoś na wielkie święto i jakby ten dźwięk krystalicznych dzwonów zawisł nieruchomo w powietrzu. Śnieg nie wiruje wicherem. Leci prosto, puszysto, miękko. Nie ze skrzydeł Cherubinów lecz raczej z ich rąk, jakby na ziemię w grób.

Okna domów żółcą się światłem poza tą białą zasłoną lecącego śniegu.

Jak bardzo dziś zamknięte są te okna, jak bardzo zamknięte drzwi ludzkich mieszkań. Wpuszczono tylko tego, kto wejść miał prawo i oto zapadły wrzęciadze ludzkich domów i ludzkich serc...

Jesteśmy razem ci, którzy być razem mamy prawo



Wy wszyscy, którzy błądzicie koło naszych wnętrz, odejdźcie. My tylko, my sami!

Ola jest ta, która błądzi w tej chwili koło ludzkich wnętrz.

Naokół pustka zupełna. Ulica biała i cicha.

Wszyscy weszli do siebie.

I zamknęli drzwi.

Jakaś rozpacz nią chwyta. Jakże chciałaby stanąć pod którym z tych okien i choć zajrzeć do środka.

W czarnym swem długim futrze idzie szybko. Jakby ją kto gnał. Ociera się o mury kamienic.

— Gdzie idziesz? gdzie? — pyta się samej siebie. Idzie ciągle.

Nagle na rogu ulicy dostrzega jakąś istotę.

— Ach! jest jeszcze ktoś oprócz mnie... kto błądzi, kto niema gdzie wejść...

Jakby do nagle dojrzanego ogniska zbliża się Ola.

Na tle muru — drobna, zwinięta postać kobieca klęczy.

Czarną chustkę osypał śnieg. Nieruchoma. — Przed nią, przed tą milczącą i jakby zastygłą postacią na rozesełanej na śniegu szmacie — troszkę drobnych jabłek. A na tę nędzę całą, cichą, zrezygnowaną, bezzimną, leca wciąż zimne płaty śniegowe — bezlitosne, straszne.

Ola zatrzymuje się. Patrzy.



Och, jakież to smutek! Jakimże bolesnym hymnem bije na trwogę.

— Co tu robicie? — pyta Ola — co tu robicie w ten śnieg...

Z garstki łachmanów i śniegu — cichy, złamany głos:

— Może kto kupi jeszcze jabłka.

— Ależ pusto dokoła. Widzicie.

Kobieta milczy.

— Macie dzieci?

— Są!

— Czekaają na was w domu?

— Tak!

Ola sięga do woreczka. Napotyka jakiś banknot. Szybko podaje klęczącej kobiecie.

— Weźcie jabłka, weźcie to... idźcie do domu!

— Och!...

Ola odwraca się i zaczyna uciekać. Goni ją śnieg, gonia ją lzy. Do swego domu przypadła. Sługi już musiały wyjść. Chce się ukryć jakby w jamie. Ukryć gdzieś, niewiedzieć nic... Patrzy trwożnie w okna swego mieszkania. Ciemno. Wyszły pewnie sługi. Cicho przekrada się koło drzwi właściciela kamienicy, sąsiadki o błękitnych oczach. Jakby popełniła zbrodnię, że jest sama, że w tej chwili niema nikogo.

Wreszcie dopadła do swego mieszkania. Otworzyła drzwi. Ciemnica ogarnęła ją. Zatrzasnęła zamek. Jakby grób ogarnął jej duszę. Z poza ścian niewprawne ręce grają na fortepianie koledę. Weszła do salonu. Zapaliła świece. Martwe sprzęty przywitały ją. Wyniesione choinki położyły woń po sobie. Usiadła w swym płaszczu, który ogarnął ją ogromną falą czarnego aksamitu. Chciała zanurzyć się w rozkosz wypełnionych dobrych czynów.

— Choinki posłane do suteryn, ten człowiek w sklepie — teraz ta kobieta...

Nie, nie. To wszystko jest niczem w tej chwili. Nie ogrzewa jej, nie tuli. To wszystko są piękne gości, które na razie dają jej złudzenie rozkosznego wzruszenia.

Lecz oto goście minęły.

A ona pozostała... sama! —

* * *

— Dlaczego się z nim rozstałam? — myśli. — Dlaczego? Gdzie on dziś być może? Z kim łamie się opłatkiem? Za czym stołem usiadł? Wszak nie przed nim drzwi jej domu stać dziś winny zamknięte.

Drzwi jej domu!

Ogarnęła wzrokiem wnętrze swego mieszkania.

To co dawniej wydawało się jej przytulne i ciche — teraz jest martwe i zimne.

— Och! stworzę sobie życie... wystarczę sobie sama... mówiła w chwili separacji.

Gdzież jest to życie?

Na biurku leżą opłatki. Przyniósł je dziekan kościelny, a pokojowa położyła je na biurku.

— Bo może wielmożna pani będzie pisać listy do swoich... — mówiła tłumacząc się z faktu.

Listy do swoich!

Nie pisała Ola, bo ich nie miała.

A teraz ten opłatek...

Aż gorące, wielkie lzy wypełniają oczy Oli.

Ten opłatek...

— Podzielić się z kimś swoim, przełamać...

Wstaje, zbliża się do biurka.

Wyciąga rękę — prawie bezwiednie.

I łamie opłatek.

A potem do ust niesie z gorącym łez.

I drugą połowę w kopertę kładzie.

Bez słowa, bez znaku.

Tylko sam opłatek.

Pochylona na kopercie, pisze adres przypuszczalnego swego męża.

I przykleiwszy markę, szybko z domu znów w biel i śnieg wychodzi.

* * *

Rzuciła list w skrzynkę pocztową i jakoś jej lżej, cieplej na sercu.

Powraca do swego kąta, nie kryjąc się jakby niosła ciężar zbrodni.

Łzy jej z oczów jeszcze płyną, ale wdzięczna im jest za to, że idą jej z serca.

Bo i ona dziś podzieliła się opłatkiem w ten wieczór wigilijny.

* * *

W ten wieczór wigilijny, gdy nie ze skrzydeł Cherubinów, lecz z rąk ich, jakby strzępy chryzantemów śnieżne płatki lecą.

I z jej dłoni taki biały strzęp uleciał w dal.

A był to prawdziwy chleb anielski.

Chleb przełamany...

Chleb zgody i przebaczenia. —



Lew i kogut.

Gdy nastała wieczór cisza,
Portugalskie zaszło słonko,
Wyszedł sobie na przechadzkę,
Lew, król zwierząt z swą małżonką.

A lwiej parze towarzyszył
Chór pochwalny zwierząt tłuszczy,
Wszystko biło im poklony,
Co jest w lesie, kniei, puszczy!

I lizali jego ślady
Zausznicy i pochlebce,
Choć wiedzieli, że lew w kniei
Krew poddanych swoich chlepie!

Król ogonem tłuszczy wita,
Giestem władcom odpowiednim,
A gdzie zwrócił krwawe ślepie,
Uciekało wszystko przed nim!

A królowa zwierząt znowu,
Wsparta na małżonka łapie,
Gdy do ludu się uśmiecha,
Zębiskami groźnie kłapie!

Wtem lew nagle ryknął z trwogą,
Ogon zwija, uszy stula
I umyka, co sił tylko
Wbrew powadze zwierząt króla.

Cóż się stało? Ot niepomny
Na blask berła i korony,
Zapiał kogut — proletarynsz,
Co miał na łbie czub czerwony!

Bo ze względu na swe nerwy,
Pilnie się królowie strzegą,
Zbyt głośnego plania ludu
I koloru czerwonego.

Kruk